TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.46./54/ 151 East 67 Street, New York, N.Y. 12.XI.1942

Brzask po nocy.

Po trzech latach zaciętej desperacji i niewymownych cierpień, zajaśniał wreszcie brzask na horyzoncie świata. Olśniewające wydarzenia militarne w Afryce Północnej przyjęły do głębi radością wszystkie znękane serca zarówno w wolnych krajach, jak przedewszystkiem ludów, oczekujących w niewoli pierwszej zapowiedzi wyzwolenia. Już wprawdzie w poprzednich okresach przeżywaliśmy chwile jaśniejsze, zwycięstwa, które dawały otuchę i wzmacniały nadzieje. Ale żadne z nich nie odczuwaliśmy nawet na chwilę jako wydarzenia przełomowe, otwierające nowe perspektywy wojenne. Cóż przeto jest w tych obecnych operacjach tak przejmującego i do głębi olśniewającego, że budzą one powszechny entuzjazm, jakby radość wielkoświąteczną i podniecenie wiosenne? Przyczyną tego nowego uczucia w obecnej wojnie nie może być ani imponująca wielkość zwycięstwa ani niespodzianka jego nadejścia, ani wreszcie szeroki wymiar jego terytorialnego zasięgu. Są to wprawdzie elementy niezmiernie radosne, ale one same nie mogłyby stanowić podstawy do wiary, iż oto nastała nowa, długo oczekiwana faza wojny.

To co nas wszystkich uderza i stanowi niejako rewelację niebywałą, to przedewszystkiem ujawnione fakty, ukrywające się za kulisami tych operacji. Fakty, brzemienne w następstwa, stanowiące jakby nieomylny sprawdzian tych wysiłków i przygotowań zbrojnych, które miały usprawiedliwiać nasze długie oczekiwanie. Uchodźca polski, który śledził z uwagą opinie prasy amerykańskiej, przechodził nieraz chwile głębokiej wewnętrznej udręki i zwątpień. Krytykowano przemysł wojenny, politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, wyrażano wątpliwość w zdolności strategiczne generałów i admirałów, podejrzewano rozdwojenie i nieporozumienia w łonie samego dowództwa, słowem widowisko było dość zagmatwane i zniechęcające. A przecież cała nasza nadzieja związana była z potęgą Stanów Zjednoczonych, z ich sprężystością organizacyjną i energią militarną. Trzeba było wiele wewnętrznego hartu, by wierzyć, że z tego kotłowiska opinii narodzi się kiedyś wielka celowa akcja militarna.

Wcześniej, niż mieliśmy odwagę o tym marzyć, Stany Zjednoczone

przystąpiły do egzaminu. Okazało się, że już od kilku miesięcy, niejako na ustroniu, obok tej całej gry opinii publicznej i demagogicznej propagandy, toczyły się gigantyczne przygotowania, o rozmachu organizacyjnym bez precedensu w dzisiejszej wojnie. I przedewszystkiem te przygotowania są zwycięstwem, które ma znaczenie decydujące, a nas przenika entuzjazm. One ujawniły naraz całą wielkość Stanów Zjednoczonych, całą jej potęgę i majestat. Hitler podczas swej ostatniej mowy drżał ze zdenerwowania i usiłował umniejszyć wysiłek przemysłu amerykańskiego, nie dlatego, że poniósł pierwszą wielką klęskę, lecz przedewszystkiem dlatego, że raptem jak zmora stanęła mu przed oczyma prawda o potędze Ameryki, którą stale wykpiwał i zatajał przed swoim społeczeństwem. Naraz jak obuchem uderzył go nowy fakt, że oto ktoś inny a nie on potrafił w głębokiej tajemnicy planować operację wojenną na wielką skalę, skoncentrować dla jej wykonania wielkie armie a przedewszystkiem potężne środki techniczne. W swej ślepocie i pysze zapomniał, że zwycięstwa swoje uzyskiwał tanim kosztem, mając do czynienia z przeciwnikiem nieuzbrojonym technicznie i pacyfistycznym. Obecnie karty się odwróciły, w co do ostatniej chwili nie chciał wierzyć.

Przedewszystkiem zdumiewające jest, że w okresie zaledwie kilku miesięcy zdołano w Egipcie skoncentrować nową armię, przewieźć szlakami morskimi długości kilku tysięcy mil olbrzymi materiał wojenny. Stało się to mimo że szlaki te roiły się od nieprzyjacielskich łodzi podwodnych a w powietrzu rozbrzmiewał szum niemieckich i włoskich bombowców nurkowych. W dodatku całe to skomplikowane przygotowanie otoczono do tego stopnia tajemnicą, że pierwsze uderzenie armii angielskiej na umocnienia Rommla było całkowitym zaskoczeniem. Przerwanie tej potężnej linii niemieckiej w ciągu kilku dni jest równocześnie ruiną złudzeń Hitlera, że będzie mógł prowadzić wojnę obronną w ufortyfikowanej Europie, doprowadzając Aliantów do wyczerpania i kapitulacji. Zwycięstwo w Egipcie stanowi dowód, że w równych warunkach uzbrojenia technicznego żołnierz aliancki góruje nad niemieckim żołdakiem, który w momencie niepowodzenia poddaje się i ucieka panicznie.

Z chwilą, kiedy otrzymaliśmy pierwsze wiadomości o operacjach w Marokko i w Algierze, otworzyły nam się oczy. Uświadomiliśmy sobie jasno cały wspaniały plan strategiczny. Jesteśmy oszołomieni przedewszystkiem szybkością i sprawnością wykonania wszystkich tych złożonych operacji, których organizacja jest przemyślana i przewidziana w najmniejszych szczegółach. To co przedewszystkiem zdumiewa, to fakt, że poruszenia tak gigantycznych transportów wojsk i sprzętu oraz całej armady okrętów wojennych potrafiono utrzymać w tajemnicy do ostatniej chwili i w ten sposób wyzyskać moment zaskoczenia. Gdy nastała chwila działania, ciosy nastąpiły po sobie w błyskawicznej kolejności. Synchronizacja wszystkich wypadków jest poprostu idealna. Nietylko zestrojenie uderzeń w Egipcie i koloniach francuskich celem otoczenia Rommla, współpraca floty, wojsk lądowych i lotnictwa pod jednym dowództwem jest rewelacją, ale przede - wszystkiem wyzyskanie dla powodzenia militarnego wszystkich innych czynników, jak dyplomacja, wywiad i porozumienie z wolnościowym ruchem podziemnym Francji. Równocześnie z rozpoczęciem działań zjawiły się listy i noty dyplomatyczne Roosevelta do Petaina i do Beya Tunisu; Francję i kolonie Afryki Północnej zasypano milionami ulotek, zdemoralizowano ośrodki oporu od wewnątrz przy pomocy elementów wolnościowych, z którymi poprzednio utrzymywano kontakt. Podsekretarz Stanu Hull oświadczył szczerze, że dla tych właśnie celów podtrzymywano stosunki dyplomatyczne z Vichy, mimo zaciekłych ataków prasy amerykańskiej. Więcej jeszcze, okazuje się, że o całym planie wiedzieli Stalin i Willkie. Ich przemówienia

i gwałtowne żądania drugiego frontu, które tyle miały rozgłosu w ostatnich czasach, jakkolwiek w intencji szczere, sprawiały wrażenie, jakoby w obozie alianckim panowało rozprzężenie i rozdwojenie opinii - i w ten sposób stanowiły również doskonałą osłonę dla przygotowujących się operacji.

Churchill oświadczył, że operacja jest pomysłem Roosevelta. Ważniejsze jest jednak, że w tych operacjach została zrealizowana idealna współpraca Anglii i Ameryki przez powierzenie dowództwa nad wszystkimi siłami morskimi, lądowymi i powietrznymi jednemu dowódcy, generałowi amerykańskiemu. W ten sposób już oddawna zostało przeprowadzone, czego się domagała opinia publiczna i od czego uzależniano powodzenie tej wojny. Roosevelt w ostatnim swym wywiadzie prasowym oświadczył nie bez ironii, że oczywiście tego faktu nie mógł ujawnić mimo biadań prasy.

Biorąc wszystkie te złożone czynniki pod uwagę, składające się na olbrzymią pracę przygotowawczą, wymagającą olbrzymiego aparatu, planowania szczegółów przez setki fachowców i sharmonizowania tysięcznych elementów - dochodzimy do radosnego przekonania, że obecne sukcesy są przedewszystkiem triumfem amerykańskiej sprawności organizacyjnej. Są pozatem dowodem, że Alianci, otrzymawszy do ręki odpowiednie środki, potrafią zdobyć się na wielką ideę strategiczną i przeprowadzić jej realizację z imponującą systematycznością. To przedewszystkiem jest zwycięstwem decydującym, bowiem, tak jak w Anglii prysła legenda niemieckiego lotnika, a w Rosji niemieckiego żołnierza, to obecna operacja rozwiała złudzenia Niemców, że tylko ich sztab potrafi planować wielkie wyprawy strategiczne, a ich generał jest najlepszy. W panicznej ucieczce Rommla prysła legenda niemieckiego generała, a gigantyczna wyprawa armady angielsko-amerykańskiej, która zwaliła się na Hitlera złowieszczą niespodzianką, jest chmurną dla Niemców zapowiedzią, że teraz dopiero wojna się dla nich zacznie. Niezależnie od losów fragmentarycznych wydarzeń tej wojny, jedna rzecz już pozostanie jako czynnik decydujący: ujawniona wielkość przemysłu zbrojeniowego Aliantów oraz wartość ich żołnierzy i generałów. Tych faktów Hitler nie zdoła już zatuszować szyderstwem i tanim dowcipem, staną one przed oczami Niemców jako groźna zapowiedź nieuniknionej klęski.

My, Polacy ze wzruszeniem myślimy w tej chwili o naszych braciach w kraju. W ponurych, krwawych zmaganiach z niemieckim siepaczem, rzadko zaznali chwil radośniejszych. Mimo potwornych ofiar, cierpień i upokorzeń, nietylko trwają bohatersko na posterunku, ale nawet na chwilę nie zachwiali się w wierze w ostateczny triumf naszej sprawy. Walczyli i czekali cierpliwie na ten moment jaśniejszy, którego tak było im potrzeba dla podniesienia ducha.

Teraz wieść o tej wielkiej operacji, tak wspaniale przeprowadzonej, idzie po kraju lotem błyskawicy. Zapewne, obejmują się tam z radości, śmieją się i płaczą z uniesienia, poraz pierwszy od trzech lat rozpogodzili czoła i z błyskiem ironii w oczach mijają na ulicy niemieckich najeźdźców. Powiało po kraju zapachem zbliżającej się wolności. I chociaż nikt zapewne się tam nie łudzi, że to potrwa krótko , już łatwiej i raźniej będzie im czekać, bo wiedzą - że się zaczęło....

Zenon Kosidowski

Z księgi Psalmów.

1

Dokądże Panie? Zapomnisz-że mię na wieki? Dokądże ukrywać będziesz oblicza twego przedemną?
Dokądże się będę radził w duszy swojej a trapił w sercu mojem przez cały dzień? Dokądże się będzie wywyższał nieprzyjaciel mój nademną?
Wejrzyj-że, wysłuchaj mię, Panie, Boże mój! Oświeć oczy me, bym snać nie zasnął w śmierci. Psalm XIII, 2,3,4.

Oto się trapię cały dzień,
Uderzam, tłukę się o ściany,
Szukam po mieście: wątły cień
Śni mi się w oczach, niewidziany.

Radzę się, pytam setny raz
Duszy i serca i marzenia:
Możem ja oślepł, może zgasł
W źrenicy mojej odblask cienia.

Może zapomniał, odszedł mnie
I z wysokości swej dalekiej
Napada tylko śpiących w śnie,
Wydziedziczonych zeń na wieki.

O niepojęty, powiedz jak
Natężać ludzkie mam widzenie,
Oświeć mnie nocą, przez ten znak
Mój ślepy może sen odmienię.

Wybawicielu, Panie nasz
Niedocieczony za ukryciem,
Zbudź mnie zawczasu, odsłoń twarz
W tej długiej śmierci zwanej życiem.

2

Do ciebie,Panie,wołam, skało moja! Nie milcz na wołanie moje,bym snać,jeśli mi się nie ozwiesz,nie stał się podobny stępującym do grobu. Psalm XXVIII, 1.

Do ciebie wołam, wieczna skało,
Usłysz wołanie moje,
Otwórz się źródłem: wodą białą
Usta napoję.

Do ciebie wołam, wieczny Panie,
    Łaska niech mnie wysłucha,
Otwórz się słowem: zmiłowanie
    Ukaż dla ducha.

Otwórzcie się, opoki boże,
    A z wiecznych prawd zasobu
Wiarę na sercu mem położę
    I wyjdę z grobu.

Kazimierz Wierzyński

Krok zwycięstwa.

Wrażenie wieści z Afryki tak radosnych, że przyzwyczajonym niemal przez potworne trzy lata do najgorszego - zdawały się nie do wiary, góruje nad wszystkiemi naszemi myślami, nie daje myśleć o niczem innem, nietylko kładzie nam na usta ale umacnia w sercach niezmożoną nadzieję.

Najzuchwalszy z raubritterów Rommel, któremu nikt, zdawało się, nie mógł sprostać, któremu w zaślepieniu niepojętego objektywizmu sama prasa aliancka robiła legendę niezwyciężonego nadżołnierza, nadwodza, rozbity przez świetny, rozumny "Blitzkrieg" angielski, zmuszony uchodzić, przeklinany przez swój naród i przez jego herszta!

Jego armia, dla której cofanie się było dotąd tylko dobrym figlem, płatanym Anglikom, uciekająca tym razem naprawdę, zostawiająca na łaskę zwycięzcy cały niemal materiał, tysiące ludzi, tysiące trupów i jak dziś się zdaje, zaszła w potrzask, z którego być może nie ujdzie.

Włosi, których zbrodnicza pycha ich wodza zepchnęła w haniebne szeregi ciurów, ciągnących za prawdziwym, za jedynym prawdziwym wrogiem ich kraju, obudzeni wreszcie, świadomi czekającej ich zguby, oddający się dywizjami całemi w niewolę, niemal idący z podniesionemi rękami naprzeciw zwycięzcy!

I wreszcie, kiedy zdawało się, że już nic więcej nie może się stać, coby wymowniej przedstawiało odwracającą się wreszcie kartę tej wojny, kiedy w upojeniu nadziei, jak przedtem nieraz w zaślepieniu niewiary, gotowi byliśmy niemal poprzestać na tych wieściach, nowe wieści, jeszcze ważniejsze, dające dopiero prawdziwy sens poprzednim, oznaczające podjęty wreszcie najwyższy wysiłek woli i myśli ku zwycięstwu!

Amerykanie, których wejście do poprzedniej wojny było wyrokiem śmierci dla Niemców, pamiętających po dziś dzień "Lusitanię" jako największą swą przegraną, prezydenta Wilsona jako najpotężniejszego ze swych zwycięzców, Amerykanie, jak się zdawało Niemcom, zajęci zupełnie własnemi kłopotami, nagle z wielką armią, z wspaniałym materiałem odbywają fantastyczny spacer przez ocean, pewnego pięknego poranku są w Algierze, idą przez Libię, aby na ruinach armii Rommla podać rękę Anglikom i otoczyć pierścieniem wojska kontynent, bez którego posiadania Hitler nie może wygrać wojny.

I oto jak trzy lata temu świat naraz zrobił się inny, nieznany nam, szyderczo niepodobny do tego, cośmy o nim myśleli, jak wtedy nagle jedne po drugich wszystkie kraje, wszystkie ważne postacie zdawały się zmieniać, czy też pokazywać jakimi są naprawdę - tak dzisiaj, od paru dni, od zwycięstwa w Egipcie zdaje się nam, że świat znów się zmienia, ale że tym razem jest to już rodzący się świat naszych nadziei i naszych marzeń.

W tym naszym świecie, który powstając na gruzach niewoli musi być światem prawdziwej, rozumnej wolności, jakżesz mogłoby nie być Francji, w której narodziła się wolność i której hańba przed dwu laty zdawała się być śmiercią samej wolności.

Któż z nas, kto słuchał dwa dni temu wspaniałego, jak najwięksi mężowie historii podejmującego odpowiedzialność za cały naród generała de Gaulle'a, w jego głosie, który poraz pierwszy brzmiał jak pobudka, nie słyszał jakgdyby oczyszczającego się z pod hańby, podnoszącego się z pod słabości głosu prawdziwej Francji, jakże nas przejmującego i znów czystego głosu Marsylianki.

Darlan w niewoli, imiona które hańba podniosła w dniach upadku giną wśród tej hańby i zamiast nich idzie na świat dźwięk bohaterskiego imienia generała Giraud, wskrzeszającego swym życiem z bajki wielką legendę francuską.

Prawie nieznane światu parę dni temu nazwisko generała Montgomery i generała Eisenhowera są dziś na wszystkich ustach, przebiegają przez świat cały jak iskra zapalająca płomień nadziei, jak hasło, na którego dźwięk umierający nabierają nowych sił, aby dożyć upragnionego dnia sprawiedliwości. Młoda, wspaniała, niezwyciężona, ludzka Ameryka jest już u bram Europy i przez wszystkie nasze umęczone Ojczyzny idzie dreszcz wyzwolenia, we wszystkich miastach i wsiach Polski, Francji, Jugosławii, Czech, Grecji, Belgii, Norwegii i Holandii miliony ludzi nasłuchują jeszcze stłumionego ale coraz bliższego kroku zwycięstwa!

Cóż z tego, że przed nami długie jeszcze miesiące walk straszliwych, nawet zwycięstw wroga, które są karą za całe lata naszej beztroski, naszej niewiedzy, naszej słabości, skoro wiemy i skoro oni tam wiedzą, że żadne czary, żadne nadziemskie siły nie wspomagały Hitlera, tylko jego prawdziwa siła, przeciw której będziemy mieli większą, tylko wiedza jego wodzów, której zbyt późno ale poznajemy wreszcie sekrety, cóż znaczy oczekiwanie na zwycięstwo wobec jego pewności i pewności, która musi przyjść na Hitlera, że przegrał tę wojnę.

W tej chwili myśl nasza, wszystkich rozproszonych po świecie Polaków idzie przedewszystkiem do naszego kraju, za którego cierpienia te radosne wieści są pierwszą odpłatą, za którego niewzruszony i wciąż niedość znany na świecie opór są one pierwszą nagrodą.

Jeżeli nam, którym nie dane jest szczęście zasługi przed krajem należy się przecież jakaś ludzka ulga w przeżywanych udrękach tęsknoty i oczekiwania, to ulgę przynosi nam świadomość tego, co od paru dni czuć muszą nasi rodacy w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie i Wilnie!

Nasze myśli, które są zawsze przy naszych świetnych dowódcach i niezrównanych żołnierzach, dzisiaj są przy nich szczególnie, przy tych, którzy się dziś biją z o ileż słuszniejszą, pewniejszą niż parę jeszcze temu dni nadzieją i przy tych, co gotują się do stojących przed niemi wielkich wojskowych zadań. Oby jaknajprędzej mogli wejść do Polski!

Myśląc po bratersku o wszystkich cierpiących narodach, o żołnierzach wszystkich walczących za swą wolność krajów, najgorętszej, najwdzię-

czniej ślemy nasze myśli ku wielkim narodom Stanów Zjednoczonych i Anglii które zarówno swem życiem w pokoju jak wysiłkiem i zasługą w tej wojnie stanęły i mają prawo z podniesionem czołem stać na czele świata wolności.

Odniesione w Afryce zwycięstwa są ich zwycięstwem. Szlachetnemu i wielkiemu narodowi amerykańskiemu pokazują one cenę jego wysiłku, wielkiemu prezydentowi Rooseveltowi przynoszą owoc jego niezachwianej ani na chwilę polityki, trudu trzech lat i jasnowidzącej myśli; narodowi angielskiemu są one nagrodą za jego wspaniałą postawę w niepowodzeniu i nieszczęściu, nieugiętemu Churchillowi i najszlachetniejszemu a najskromniejszemu z królów Jerzemu VI za dany nam wszystkim przykład wiary i stałości w przeciwnościach.

Nasłuchując zbliżającego się kroku zwycięstwa musimy my, wszyscy Polacy zdać sobie sprawę, że umniejsza on nietylko czas naszej niedoli, ale także i czas pozostały, aby zapewnić Polsce prawdziwy pokój, sprawiedliwe wreszcie granice, narodowi naszemu prawdziwą wolność, dla których tyle krwi polskiej popłynęło i bez których nie będzie pokoju, wolności i sprawiedliwości w Europie.

Odgłos tego kroku zwycięstwa wzywa nas raz jeszcze, w ostatniej niemal chwili, abyśmy zaniechali wszystkich nieistotnych sporów, przekreślili wszystkie prywaty i ambicje i zjednoczyli się dla wspólnego dzieła, po którem sądzić nas będą pokolenia, od którego zależy nasz los na stulecia, które okupione krwią żołnierzy i męczenników musi być dopełnione i dokonane przez zjednoczoną myśl i wolę polską.

Jan Lechoń

K o l e n d a   a k t o r ó w .

Najtrudniej na uchodźtwie być aktorem. Wprawdzie niewiele przekonywującej siły miałby argument, że inni artyści mogą robić swoje nawet bez odbiorcy i czekać ze swym dorobkiem na lepsze czasy - pisarz z rękopisem w szufladzie a malarz z obrazem na strychu - ale ostatecznie jest to możliwe, przynajmniej w teorii. Aktor nie może na nic czekać. Aktor żyje teatrem i aby być aktorem musi mieć teatr. Teatru nie można jednak urządzić ani w szufladzie ani nawet na strychu.

Nasi aktorzy-uchodźcy głowili się długo nad własnym losem, prowadzili dyskusje w prasie i urządzali zebrania. Cokolwiek tam powiedziano, burza aktorska nie przeminie z wiatrem, jeśli powstanie z niej teatr.

A właśnie na to się nie zanosi. Wydaje mi się, że w aktorach ocknął się trafny i szczęśliwy instynkt. Powiedzieli sobie: wiemy, że to jest teatr amerykański, ale prosimy nas tem nie szachować. Wiemy co to jest obowiązek, potrzeby narodowe i posłannictwo sceny, ale prosimy - tem także nie. Zaczynamy z innego repertuaru, chcemy dać to, co jest w nas najważniejsze a czego nam nikt nie odmawia: nasze talenty i nasze znawstwo sztuki.

Z tą nową busolą zaczynają nasi Argonauci swą podróż. Przyszli do przekonania, że mimo wszelkich trudności i wobec wszystkich zadań może być tylko jeden właściwy i nieomylny kierunek wyprawy: wartość artystyczna teatru. Jest to najwięcej a nawet wszystko, co może być. Jest to program i wykonanie, forma i treść, idea i metoda. Bez tego jest wszystko inne tylko nie teatr, teatr dla którego się żyje i który musi się mieć

aby żyć.

Ten sam szczęśliwy instynkt podszepnął aktorom,by pójść do publiczności ze słowem,które nigdy w Polsce ani u Polaków nie zawodzi - z kolendą. Zespół zaczyna pracę wystawieniem "Betleem w Polsce" Pastorałki Leona Schillera, które nadaje się idealnie na inicjał działalności nowego teatru. Już sama tradycja i wspomnienie Reduty,gdzie odbyła się premiera "Pastorałki", wzrusza nas i budzi najżyczliwsze uczucia. Aktorzy nasi uciekają się jakgdyby pod patronat tego teatru,który z najskromniejszych rozmiarów, wiarą i zapałem jego twórców i wykonawców,wybił się w swoim czasie na czoło ruchu teatralnego u nas. Szczęśliwy wybór,dobra gwiazda przewodnia.

"Pastorałka" jest czemś w rodzaju misteryjnych jasełek,stanowi esencję i syntezę polskiej legendy i pieśni kolendniczej. Schiller oparł się na autentycznych tekstach i śpiewach za którymi przez całe lata szperał po bibliotekach i zbiorach,śród wydawnictw specjalnych i ineditów rękopiśmiennych. Rzeczy te pochodzą z rozmaitych czasów i różnych stron naszego kraju,opracowane ręką bardzo czułego artysty stanowi utwór jedyny w tym gatunku. Można powiedzieć,że w sztuce tej zeszły się wszystkie wieki polskich modlitw i że zbiegła się cała Polska,aby kolendować Nowonarodzonemu.

Z tem słowem i z tą pieśnią wybierają się nasi aktorzy w świat amerykański,między Polonię i uchodźców. Kim są ci kolendnicy wiemy z Polski i sądzimy że sprostają swemu zadaniu. Zespół ich ozdabia Maria Modzelewska,jedna z najlepszych aktorek polskich,arcydzieło szczerości sce - nicznej i kunsztu aktorskiego,znakomitość o którą mógłby się ubiegać każdy teatr. Jest w nim,teraz niestety chora Smosarska,która po słynnych sukcesach ekranowych przerodziła się w talent dramatyczny o nadspodziewanej sile,podziwiany w ostatnich latach przez całą Warszawę. Jest Nakoneczna,misterna w najtrudniejszym dialogu komediowym,bez której trudno pomyśleć o Teatrze Małym. Jest urocza Tiche, pełna kultury,wdzięku,poczucia humoru a przede wszystkiem talentu. Jest najmłodsza latorośl aktorska Wilczówna. Jest Ilcewicz, Ossetyński,którzy obejdą się bez komplimentów, i jest szereg pań,panów z tutejszego terenu,lepiej znanych Polonii, niż nam przybyłym niedawno. Jest wreszcie Cwojdziński,który reżyseruje "Pastorałkę",autor,reżyser,człowiek teatru po same uszy - czegoż chcecie więcej!

Towarzystwo to wystąpi z premierą "Pastorałki" przed Swiętami Bożego Narodzenia. Przygotowuje ją bez niczyjej pomocy,śród najskromniejszych warunków,ale z tak gorącym zapałem,do jakiego są zdolni tylko aktorzy. Mogą być pewni,że kolendę ich powitamy jak najserdeczniej. Pastuszkowie, przybywajcie!

Kazimierz Wierzyński

W i e c z ó r z B o y e m .

"I myślę w jakiej postaci, kiedy mnie już nie będzie,
Wśród moich dobrych współbraci żyć będę w rzewnej legendzie.."

Przeglądając w Bibliotece Publicznej na Tompkins Square materiały dramatyczne,z których mógłby w bieżącym sezonie korzystać Teatr Polskich Artystów,natrafiłem na "Słówka"Boy-Żeleńskiego. Wziąłem je - dla siebie. Czerwono oprawna książeczka,dla której czułem sentyment od najmłodszych lat i umiałem ją prawie na pamięć,nie mogła,rzecz jasna,wchodzić w za - sięg repertuarowych planów teatru dramatycznego,znajdującego się w ciągłym poszukiwaniu sztuki o specyficznej obsadzie/7 ról żeńskich i 2 męskie/. "Słówka" przeczytałem po całotygodniowym,bezowocnem zresztą dla

Teatru Pol.Art.wertowaniu Rostworowskiego,Szaniawskiego,Nałkowskiej,poświęcając im ponury i dżdżysty niedzielny wieczór,jeden z tych wielu czy niewielu wieczorów emigracyjnego spleen'u,w których każdy zadaje sobie melancholijne pytanie na temat celu życia i własnych,samozachowawczych ruchów na świecie.

Wieczór nie był ani dżdżysty ani ponury.Na stwierdzenie tego faktu nie pozwoliło mi sugestywne piękno boy'owskiego wiersza ani jego nieporównany humor,przepojony najczystszą poezją uśmiechu. Bo Boy potrafi się śmiać nietylko po rabailaisowsku,szeroko. Ponad arcy-komiczne piosenki "Zielonego Balonika",wspaniałe najprzedniejszym dowcipem dialogi "Szopki Krakowskiej"pisane w przerwach między tłumaczeniem "Atali" Chateaubrianda a "Wielkiego Testamentu" Villona,arcydziełka aktualnej satyry wielkiego kabaretu w stylu paryskiego "Chat-Noir" Salisa - wybijają się na czoło jego młodzieńczej twórczości,najpiękniejsze perełki lirycznej poezji,pisane z uśmiechem...dla siebie "Różne Wierszyki".

W nich jest cały Boy.Nie wspaniały tłumacz zgórą 150 arcydzieł literatury francuskiej,Montaigne'a,Descartes'a,Pascala,Woltera,Balzaca,Stendhala czy Verlaine'a,nie autor "Marysieńki" i głębokich essayów o Mickiewiczu,Balzacu,Przybyszewskim i Żmichowskiej,nie wnikliwy analityk "Flirtu z Melpomeną" - ale Boy-poeta.

"...Gdy coś mnie nadto wzruszy,
Lub serce mi podrażni,
Chowam się aż po uszy,
Do swojej wyobraźni.
Tam o każdziutkiej porze
Schronienie mam zaciszne,
Gdzie myśl wyprawiać może
Przeróżne rzeczy śmiszne".

Do "rzeczy śmisznych" lecz przepojonych poezją uśmiechu,do "Madrygałów z pod ciemnej gwiazdy" i "Listu otwartego kobiety polskiej" prowadziła go długa i trudna droga. Od Krakowa Tarnowskiego i Wyspiańskiego,dziwnego podówczas miasta,zagubionego w czasie i przestrzeni,tonącego w oparach dośrodkowego narcyzmu naukowców i młodopolskiej bohemy,rozświetlanego coraz częstszymi błyskawicami wspaniałych talentów w każdej dziedzinie sztuki ale dusznego przygniatającą atmosferą patosu i dysproporcji sił i zamiarów - do Paryża Arystydesa Bruanta,Marcelego Legaya i Gabriela Montoyi. Jednem uderzeniem pięści wybił okno pokoju zamkniętego od kilku dziesiątków lat,w którym szanowny ale wypełzły starością adamaszek antycznych mebli zbyt trącił naftaliną zbędnych wspomnień. Skandynawsko-berlińska przybyszewszczyzna pseudo-cyganów nie mogła tej atmosfery oczyścić - przeciwnie uczyniła ją jeszcze nieznośniejszą.Dlatego Jama Michalikowa, której magna pars fuit,spełniła podówczas wiekopomną misję ośmieszania patosu i buddyjskiego wpatrywania się w własny pępek dostojnych c.k.mandarynów nauki,sztuki i poezji.W tem leży historyczna wielkość Boya-satyryka,któremu podziw dla majestatu literatury francuskiej,uśmiech filozofa i temperament publicysty nie pozwoliły zostać poetą,jakim się urodził.

Gdy zamknąłem "Słówka",przyszło mi na myśl,czy w bieżącym sezonie nie powinien Teatr Pol.Artystów uczcić pamięć wielkiego pisarza "Wieczorem Boy'a". Nietylko dlatego,że rok temu stał się on jedną z wielu ofiar obozu koncentracyjnego ale dla uprzystępnienia Polonii jego poezji i uśmiechu,jego filozofii życia,jego geniuszu.Wieczór bez przemówień i bez patosu,którego nie znosił i z którym walczył przez całe życie - prostą recytację fragmentów "Słówek" wesołych i lirycznych,poprzedzonych gawędą Lechonia,przy fortepianie w małej sali,w takiem milieu w jakiem odbywały się wieczory "Zielonego Balonika"i w jakiem Kraków ujrzał poraz pierwszy Jadwigę Mrozowską w czarującej wizji luwikowskiej "Markizy".

Jerzy Topa